NUMER 40. DNIA 4-go PAŹDZIERNIKA 1903 ROKU ROK XI.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

BŁĘDY JĘZYKOWE.

(BŁĘDY JĘZYKOWE zebrał A. Passendorfer, profesor wyższej szkoły realnej we Lwowie 1903. Wydanie drugie, poprawione i znacznie powiększone. Nakładem Księgarni Polskiej (B. Połonieckiego).

Znawca i miłośnik języka ojczystego, Artur Passendorfer, pełniąc obowiązki nauczyciela tego języka w naszych szkołach średnich, spisywał z mrówczą skrzętnością wszystkie grzechy i usterki językowe młodzieży w mowie i piśmie popełniane, tępiąc je słowem i piórem,-prostując nauką i przykładem. Przez lat kilkanaście bez wytchnienia oddany żmudnej pracy — że tu wymienię, tylko poprawę tysięcy zadań szkolnych i domowych z roku na rok — czynił w tym celu poszukiwania i wyciągi z dzieł najprzedniejszych pisarzy polskich dla uzasadnienia poprawnych lub napiętnowania błędnych form języka. Tak powstała rozprawka p. n. „Błędy językowe młodzieży szkolnej“, ogłoszona w Sprawozdaniu szkoły realnej we Lwowie na rok 1902, a następnie w oddzielnej odbitce, którą młodzież w kilku tygodniach rozchwytała. Zasłużone to powodzenie zachęciło autora do dalszej w obranym kierunku pracy, tak niezbędnej w społeczeństwie, uginającem się pod ciężarem narzuconego mu języka państwowego, u nas niemieckiego, w Królestwie rosyjskiego. Prof. Passendorfer rozszerzył więc i udoskonalił swój pierwotny pomysł, rozciągając go nie tylko na młodzież szkolną, ale na cały ogół czytających. Zmierzył w tym celu potężny obszar piśmiennictwa od najstarszych staropolskiego języka pomników aż po ostatnie utwory Sieroszewskiego, nie spuszczając z oka żywej gwary ludowej i wygotował rodzaj przewodnika dla wszystkich Polaków, pragnących zachować język ojczysty, ten najdroższy klejnot narodu, w nieskazitelnej czystości. Przystawiając publiczności możliwie najwierniejsze zwierciadło poprawnego języka, kierował się, niby busolą, zasadą, wyłożoną przezeń w przedmowie temi słowy: „Najwyższym trybunałem w sprawach językowych jest spółcześnie panujący zwyczaj językowy. Kształty wyrazów i całe zwroty, powszechnie używane są p o p r a w n e, chociażby się wyłamywały z pod jarzma prawideł gramatycznych i na odwrót prawidłowe postacie językowe są n i e p o p r a w n e, jeżeli wyszły z powszechnego użycia“. Tego górującego w narodzie języka „poprawiać nie wolno, co innego prostować błędy ludzi, nie umiejących pisać po polsku“. Tak jasno i dobitnie wyrażoną zasadę nietykalności żywej, zmiennej mowy ogółu, zasadę podporządkowania choćby najsłuszniejszych prawideł gramatykarzy narodowemu zwyczajowi, będącemu w obiegu, stosuje prof. Passendorfer w swojem dziele z całą wyrozumiałością językoznawcy. Z obfitego plonu, zebranego na tej zachwaszczonej niwie przez autora, przytaczam dla wyświetlenia jego zdrowej myśli jeden przykład, podany w B ł ę d a c h j ę z y k o w y c h na str. 104. Od wieków mówią i piszą: Mie-

szkam na ulicy tej lub owej. Dopiero od niedawna poczęto dowodzić, że jeno włóczęgi mieszkać mogą na ulicy, „porządni“ ludzie zaś mieszkają w domach, przy ulicy stojących. Prof. Passendorfer wykazuje więc, że tego rodzaju wywody nie mają naukowego uzasadnienia (na dowód przytacza analogiczne zwroty: na deszczu, na teatrze it. p.). Nie zapiera jednak wrót używania temu drugiemu, nowszemu sposobowi mówienia (mieszkam przy ulicy) a licząc się z tym faktem, że w spółczesnym języku książkowym, jakoteż w mowie ludzi wykształconych coraz rzadziej spotykamy się z dawniejszym zwrotem (mieszkam na ulicy) podaje oba wyrażenia, jako poprawne. W przeciwstawieństwie do filologów, coby radzi rozlewny zwyczaj językowy całego narodu wtłoczyć gwałtem w ciasne koryto prawideł gramatycznych, szanuje nasz uczony badacz żywą mowę, uświęconą zgodnem całego ludu przyjęciem. Z równą oględnością i wyrozumieniem stosuje prof. Passendorfer zasadę usuwania wyrazów obcych, tak szpecących nasz język ojczysty. Tam, gdzie wyrażenie cudzoziemskiego pochodzenia da się zastąpić rodzimem, nie omieszka go podać w swej książce. (Tak np. zamiast irytować poleca mówić zależnie od związku: drażnić, gniewać (się), jątrzyć, oburzać (się). Nie zapomina jednak o prawdzie, że wyraz przyswojony mniejszą ojczystej mowie wyrządza szkodę, niż rdzennie swojski dziwoląg. (Lepszy np. obcy parasol od rodzimego deszczochronu). Wyrazów, będących od wieków w użyciu jak: charakterystyczny (= znamienny), cywilizacja (= oświata, wykształcenie), nie uważa za błędy językowe. Jeszcze jedną, rzadką u nas zaletę ma autor niniejszego dzieła. Oto, lubo sam nauczyciel, nie trzyma się zasad, przyjętych przez Radę szkolną krajową, a opierających się na gramatyce A. Małeckiego i wzorowanym na niej podręczniku Konarskiego. „U granic pisowni, przyjętej przez Radę szkolną — powiada Passendorfer — kończy się nasza uległość — nie mogliśmy bowiem dla zachowania powagi gramatycznych podręczników szkolnych poświęcić sprawy czystości języka“. Śmiało i otwarcie, bez ogródki oznacza p. Passendorfer czarnym krzyżykiem formy błędne przez przywiedzione gramatyki szkolne za poprawne uważane, kładąc gwiazdki przy formach poprawnych, które nasze przez Radę szkolną krajową polecane (to znaczy nakazane) podręczniki szkolne potępiają. Oto jeden z licznych przykładów: A. Małecki a za nim jego naśladowcy każą młodzieży błędnie mówić i pisać: dwadzieścia uczniów czyta. Passendorfer prostuje więc to wyrażenie i poleca: dwudziestu uczniów czyta = dwadzieścia uczenic czyta.

Nie miejsce tu na wytykanie usterek, których się nie ustrzegło tak czułe i wrażliwe ucho autora, ostrzegającego nas o każdem, choćby najnajdrobniejszem uchybieniu w mowie, o każdem najlżejszem zakłóceniu harmonji językowej. Pragnęlibyśmy jeno wyrazić życzenie, aby w następnem, pełniejszem wydaniu dzieła, przysposabianem do druku, wydzielono błędy językowe właściwe wyłącznie młodzieży szkolnej z Przewodnika językowego, przeznaczonego do użytku dojrzalszej publiczności. Grzechy bowiem tych dwu kategoryj, pomieszane w niniejszem wydaniu „Błędów językowych“, mącą uwagę szerszego koła czytelników, zajętych mozolną pracą wydobycia się z tego matecznika. Ale to drobnostka wobec zasług prof. Passendorfera, którego książkę odczytywać powinien z uwagą i nie spuszczać z pamięci każdy szanujący mowę ojczystą człowiek, pisarz i mówca, urzędnik lub ziemianin, zarówno kupiec jak i rzemieślnik.

H. B.

WACŁAW SIEROSZEWSKI

POWRÓT.

POWIEŚĆ.

(14)

W ten sposób dotarli do Olokmińska. Spostrzegłszy zdala miasto, bielejące w zorzy poranku, przeprawili się przez rzekę i zawinęli do przystani. Wypoczywać mieli dzień cały. Damian zakupywał po sklepach nowe zapasy żywności. Koźma wypełzł z pod pokładu i umieścił się na dachu statku. Kupcy ubrali się w odświętne kaftany i poszli do znajomych. Oryle pili w szynkach. Karski zabrał żonę i udał się na poszukiwanie towarzyszów. Przechodnie wskazali im mały domek, gdzie widocznie spano jeszcze, gdyż okiennice były zawarte. Gdy powiedzieli mieszkańcom domku, kim są, ci, choć widzieli ich po raz pierwszy, otwarli czemprędzej drzwi i porwali w objęcia. Przejezdni byli dla nich osobami szczególnemi, nosicielami nadziei i glorji zwycięstwa. Kobiet nie było w kolonji i pani Anna nie miała komu powierzyć swych trosk. Zato Karski nagadał się i nasłuchał sowicie. Wieczorem, odprowadzany przez towarzyszów do łodzi, jeszcze powtarzał, jakby chciał sam siebie przekonać:

— Grunt nie w formach, lecz w ludziach! Ich potrzeby, namiętności, przyzwyczajenia, instynkty stanowią treść społeczeństw i historji... Ich należy zmienić, a formy przyjdą same...

— Ach, jakby to było dobrze, gdyby było inaczej! — westchnął jeden ze słuchaczów.

— Wcale nie! — odrzekł drugi.

— Dajcie pokój!... Przecieżeście już o tem mówili!... — wstrzymywała ich pani Anna. — Ot i nasz statek!

Na wierzchu budy siedział u masztu Koźma i patrzał w stronę miasta.

— A gdzie ludzie?

Koźma ręce rozpaczliwie rozłożył.

— Grzechy!... Ale niech pan nie odchodzi, gdyż mogą przyjść lada chwila...

Znów rozegrała się ta sama, co w Jackucku scena, i jedynie dzięki energji policji szkuta ruszyła dalej, holowana przez zmniejszoną o dwóch ludzi, partję orylów. Indora śmiertelnie pijanego kozacy gwałtem wrzucili do łodzi.

— Ten nie został!.. Tego skarbu nikt nie bierze!... A czełdony, z cichapęki!.. Wywiozłem ich, u piersi swej ogrzałem żmijaków... Jedli, pili, spali jak króle... Roboty mieli mało. Cieszyłem się, że będę z nich miał pociechę, a oni opuścili mię właśnie teraz w potrzebie, jak ladacznicę... Kupiec się taki znalazł, co ich najął znowu do Jakucka... Zacny człowiek, niema co, innym holowników odmawia!.. A jeżelibym ja naprzykład tak z nim postąpił, pomstowałby pewnie... Łatwe są u nas prawa, oj łatwe!.. Łatwe i słabe! — wygadywał na swych ziomków Damian.

— Och, grzechy! — wzdychał Koźma. — Źle się stało! Chłopy były posłuszne i przydaliby się osobliwie teraz, kiedy to zacznie się kraj niespokojny, warty, „skoły," „byki" i inne przyczyny.

— Ech, byle tylko złych ludzi ominąć!.. Pociągną!.. — pocieszał go Guran.

— A gdzie na tamtą stronę będziemy się przeprawiać?

— Ludzie mocno są pijani, ale trzeba przeprawić się, bo jutro i reszta zemknie... Pan nam pomoże? — zwrócił się Damian do Karskiego.

— Kupców też trzeba poprosić... — radził Guran.

— Ale! Oni też śpią, w czubach mają! Lepiej ich nie budzić, wrzasku narobią, ze strachu umrą... Ja, Koźma, pan Karski, Achmetka trzeźwy, Wiarus ujdzie — to pięciu. Damy radę. A na tamtym brzegu przenocujemy. Wyśpią się i pójdą! — gadał Damian.

Z wielkim trudem przecięli rzekę, szybko mknącą w blasku księżyca i zatrzymali się pod wysoką górą z ruinami głazów, nawalonych na szczycie i zboczu.

Szkuta znikła bez śladu w ogromnym cieniu opoki, ale sieroca, czerwona gwiazdeczka jej ogniska skrzyła się i migała na atramentowoczarnem tle bezludnego pobrzeża.

VII.

Deszcz lał od kilku już dni. Szare jego pasma, zmieszane z mgłą, zasnuły okolicę. Niewywyraźnie majaczące po za niemi cienie gór nadbrzeżnych i chmur w górze zasklepiały się w jeden ciemy korytarz pluchoty, po którego dnie ze zgryźliwym mamrotem mknęła sprana i spienio-

na rzeka. Znękani i przemokli oryle z trudnością wlekli ociężałą od wilgoci łódź.

— A to siepie!

— Jak Bóg da, będzie lało do samego Witymu.

— Och, bracia, nie dojdziemy!

— I kiej djabeł każe nam się tak mordować! stęknął gniewnie Indor. — Kogo chcemy naszą pilnością zadziwić, kogo naszą cnotą pocieszyć... Czy to was kto kiedy pożałował? Hę! Każdy o sobie myśli, a Bóg o wszystkich... Tak się na całym świecie dzieje... Więc wzięlibyśmy lepiej, chłopcy, z barki wór mąki, połeć słoniny i... hajda! Szczerze mówię! Bez łodzi w pięć dni staniemy na Maczy...

Projektu wysłuchano w milczeniu; jedynie Żygani zagadali na wyścigi:

— A jakże... My wiemy... Tutaj są skróty w górach i łazy spirtonosów...*) Nieraz nosiliśmy wódkę z Olokmy... Tu tajgą można przejść o wiele prędzej...

— Cóż ty na to, Obuchu, hę?..

Obuch wyprostował się i ślę brzozową niedbale na piersiach przesunął.

— Połeć słoniny wam pachnie! — mruknął. Hej, nalegajcie! Balasy toczycie, a ja sam muszę ciągnąć!

Pochylił się naprzód i mocno ziemię w tył za siebie nogami odepchnął.

Szaruga, wiatr i pasy cisnące pierś przeszkadzały rozmowie. Mimo to Indor po niejakim czasie znowu zagadał:

— Mniej nas, a to samo robić musimy... Woda bystrzejsza, a siła mniejsza... Myślicie może że wam ten oprawca co doda?... A jakże, szykujcie kieszeń!.. Uhonoruje waszą cnotę!.. Niech się udławi temi skórami, co mu je ciągniemy!.. Ale niech co chce będzie, nie pójdę dziś dalej... Taki deszcz... Chcecie, to mię puśćcie... Pójdę do łodzi... A lepiej powiedzmy wszyscy, że chcemy się zatrzymać... Czy to mamy weksle płacić, żebyśmy się tak spieszyli?.. Patrzcie, tu pod tym załomem skały ogień rozpalimy, obsuszymy się i wyspimy... Hej, stop maszyna!

Holownicy zatrzymali się i wysłali Indora z uwiadomieniem, że chcą nocować.

— Zmiłujcie się, ledwie południe minęło!.. Takim sposobem my dopiero na zimę dowleczemy się do Maczy... — przekładał płaczliwie Damian.

— Właśnie, czysty zysk: nic nie zapłacimy za letnie mieszkanie!.. — żartował Indor, zwijając sznur.

— Jadła nie starczy, wziąłem go jak obciął, żeby wam było lżej...

— A ty, psie, to skór nie mogłeś zrzucić?! Głodem nam grozisz?!

Pod skałą, u ogniska wszczęła się zacięta kłótnia. Dzikie, obelżywe wyrazy, okropne groźby i złorzeczenia, zmieszane z pluskiem deszczu, świstem wiatru i rykiem wzburzonej rzeki, spadały na łódź drgającą wśród nurtów na uwięzi, jak uderzenia bezlitośnych pięści. Pani Anna zerwała się z posłania i, pochylona cała w stronę głosów, przysłuchiwała im się z przerażeniem.

— Stefanie, ty słyszysz?

— Słyszę!

— Co to jest?.. Może to napad?.. Nie chodź, nie chodź!.. Błagam cię...

— Ależ dobrze, nie pójdę!.. — odrzekł kwaśno Karski, wyszedł jednak z budki i stanął na pomoście sterniczym.

Guran, Koźma, kupcy, szli gromadnie ku migającym u ognia postaciom; część oryli, wypoczywających na łodzi, wysunęła z pod pokrowca głowy.

— Wstawajcie! Naszych turbują! — szepnął im Spirydion. (C. d. n.)

*) Spirtonosami nad Leną zwą kontrabandzistów, trudniących się wzbronionym handlem wódką z kopaczami złota. Ci kontrabandziści, zorganizowani w bandy często zbrojne, staczają nieraz walki z kozakami, strzegącymi kopalni. Spirytus wymieniają oni zwykle na złoto szlichowe, które znów potajemnie przenoszą na południe i w miastach sprzedają przekupniom lub Chińczykom. Ludność tubylcza uważa to zajęcie za zaszczytne i rycerskie.

URZĄDZENIA POCZTOWE W POLSCE.

DR. PRZEMYSŁAW DĄBKOWSKI: „Rys urządzeń pocztowych w dawnej Polsce“. Kraków 1903.

Dr. Przemysław Dąbkowski, którego pracami z zakresu historji i prawa polskiego mieliśmy już sposobność zajmować się na szpaltach „Tygodnia“, wystąpił świeżo z rzeczą o poczcie w dawnej Polsce. Rzecz bardzo ciekawa nie tylko ze względu na metodę autora i dokładne źródłowe podstawy, ale także z tego powodu, że przedmiot ten z małymi wyjątkami, nie był dotychczas przez naszych historyków traktowany, a praca niniejsza stanowi pierwszy (bardzo jasny) snop światła w tej ważnej dla poznania dawnych stosunków ekonomicznych kwestji:

W myśl wywodów autora początek poczty w Polsce, w nowożytnem tego słowa znaczeniu, datuje się dopiero od Władysława IV. względnie Zygmunta Augusta, poprzedzały ją jednak urządzenia, które spełniały, to samo, co ona, zadanie, a istniały od czasów bardzo dawnych. Była to instytucja p o d w ó d, której początki odnoszą się już do Bolesława Chrobrego, jak nie mniej prymitywne sposoby przesyłania wiadomości przez osobnych posłańców. Dopiero w r. 1558 zorganizował Zygmunt August stałą komunikację, pomiędzy Krakowem a Wenecją, której kierownictwo od czasów Stefana Batorego pozostawało w rękach florenckiej rodziny Montelupich. Właściwym jednak założycielem poczty w Polsce był Władysław IV., którego ordynacja pocztowa z r. 1647 była punktem wyjścia dla dalszych rozporządzeń i niejako kamieniem węgielnym całego urządzenia poczty na dwa przeszło wieki. Według jej postanowień podwody miały być zniesione w ich miejsce miał być opłacany podatek, za który król „porządną pocztę po wszystkim królestwie trzymać każe“. Mimo tej ordynacji i późniejszych uchwał, poczta nie mogła się należycie rozwinąć z powodu nieregularnego i mało wydatnego wpływu nowego podatku. Dopiero panowanie Stanisława Augusta rozpoczyna silniejsze zajęcie się sprawami pocztowemi, a o świetnym stanie polskiej poczty za jego czasów świadczą liczne głosy uznania współczesnych, krajowców i cudzoziemców. Nowe urządzenie poczty weszło w życie w r. 1765.

W dawnych polskich urządzeniach rozróżnić można dwa rodzaje poczty, powszechną, która służyła interesom ogólnym, państwowym i partykularną, która służyła interesom pewnych miast, ziem, powiatów etc., a dalej pocztę publiczną, utrzymywaną przez pewne ciała publiczne (państwo, powiat, miasto) i prywatną, jako przedsiębiorstwo, na zysk obliczone.

Właściwym naczelnikiem całej instytucji był „generał-pocztmistrz“, który miał zarząd finansowy poczty, ściągał odnośne podatki i składał rachunki przed podskarbim. Od r. 1764 naczelny zarząd poczt przeszedł w ręce generalnej dyrekcji poczt, na której czele stał generalny dyrektor, pod tą zaś naczelną władzą pozostawali pocztmistrze w poszczególnych miejscowościach. Od nich odróżnić należy pocztmistrzów poszczególnych miast, które posiadały własne urządzenia pocztowe za osobnymi przywilejami królewskimi.

Służba pocztowa była piesza lub konna. W r. 1764 zaprowadzono kurjerów i sztafety, jako pocztę pospieszną. Pocztylioni nosili pewne umundurowanie i emblematy trąbki pocztowej i musieli być uzbrojeni. Zasada tajemnicy listowej, uznana od pierwszej chwili wprowadzenia poczty, była ściśle przestrzeganą, gdzieniegdzie nawet (jak w ordynacji poczty przemyskiej) pod karą śmierci.

Obok podatku pocztowego stanowiły dochód poczty także opłaty za przewóz osób, towarów i listów. Opłaty te, składane w gotówce, były różnej wysokości, zależne od wagi przesyłki i odległości.

Jednorazowa w tygodniu komunikacja poszczególnych miejscowości między sobą pozostała regułą aż do końca Rzeczypospolitej. Nawet Warszawa otrzymywała wszystkiego raz na tydzień wiadomości z całego państwa. O dniu odejścia poczty zawiadamiano publiczność, jak na przykład w Przemyślu za pomocą trąbki poczto-

wej, która w przeddzień odejścia poczty odzywała się na mieście rano, w południe i wieczór.

Sieć traktów pocztowych, początkowo bardzo nieznaczna, łączyła jedynie ważniejsze miejscowości ze sobą, a zwiększała się z biegiem czasu. W drugiej połowie XVIII. wieku sieć ta przedstawia się następująco: Punktem centralnym była Warszawa. Stąd rozchodziły się poczty we wszystkich kierunkach, biorąc nazwę od części państwa, do których zmierzały. Była więc poczta brzeska, wielkopolska, wrocławska, krakowska, ruska, i mitawska. Poczta brzeska łączyła Koronę z Litwą, gdzie znowu z Wilna rozchodziły się trzy główne trakty pocztowe. Trakty podzielone były na dystanse, odznaczone od siebie stacjami pocztowemi, na każdej zaś stacji znajdował się dom pocztowy, na którym musiał być wywieszony herb pocztowy.

Taka jest w najogólniejszych zarysach treść książki dra Przemysława Dąbkowskiego. Drugą jej część stanowią zebrane pracowicie i ogłoszone dokumenty pocztowe, które dużą już i tak wartość historyczną dzieła powiększają przez nadanie mu ściśle naukowych podstaw. „Rys urządzeń pocztowych“ jest mimo skromnego tytułu wyczerpującem i dokładnem przedstawieniem wyników odnośnych źródeł, o ile one były dla autora dostępne.

Iwan Wazow.

BUŁGARKA

EPIZOD HISTORYCZNY

(5)

Przełożyła z bułgarskiego Józefa z Zagórowskich Anc.

(Dokończenie.)

Ta hałaśliwa zbieranina była pod dowództwem sławnego czerkiesa, Dżambałasa, okrutnego i krwiożerczego kaukaskiego rozbójnika. Z jego to ręki wystrzelona była kula, która przeszyła wczoraj Botewa.

Dżambałas na koniu zatrzymał się naprzeciw lasu, niedaleko ruin starożytnej cerkwi. Po lewej stronie lasu wznosiły się nieprzystępne skały i jary, z prawej zaś rozpościerały się pola i ogrody czełopiekskie, aż do drugiego gołego grzbietu. Na spadzistości lasu, widać było pomiędzy drzewami, jedyny szałas pasterski, obecnie przez właściciela opuszczony.

Oczy wszystkich zwrócone były na las, głęboki, pusty, cichy, w którym ukrywał się powstaniec. Lecz oddział nie jego poszukiwał. Albowiem tej nocy nadeszły wieści do Wracy, że na godzinę przed świtem, partja „komitów“ spuściła się z góry do tej dąbrowy, prawdopodobnie w celu przeprawienia się przez Iskier, aby się skryć w wielkim Bałkanie, Starej Płaniny.

Wojsko ożywione i zachęcone wczorajszem zwycięstwem, czekało rozkazów, gdy Dżambałas zszedł z konia i naradzał się z kilkoma wybitniejszymi baszybożukami nad sposobem zaatakowania.

Był to człowiek czterdziestoletni, smagły, wysoki, czarnobrody, odziany w lśniące czerkieskie ubranie, uzbrojony od stóp do głowy; oczy jego drapieżne, dzikie błyszczały z pod wysokiej czerkieskiej czapy.

W tej chwili zagrzmiał strzał z szałasu, a echa górskie huk ten powtórzyły.

— „Komity!“ „komity!“ zawołano.

Wszyscy zwrócili oczy na szałas, lecz tylko u wchodu jego spostrzegli kłąb dymu, unoszony porannym wietrzykiem po gałęziach. Po chwilowem zdumieniu, cały oddział dał ognia, który odbił się po lesie tysiącznem echem. Lecz nagle wśród dymu rozległy się głosy:

— Dżambałasa zabito!

Dżambałas istotnie powalił się na ziemię, gardło miał przeszyte kulą, a z ust płynęła struga krwi. Trafiła go kula, która wyszła z szałasu.

Wieść ta rzuciła postrach na wojsko, cały oddział rozprószył się i ukrył, gdzie kto mógł. Ciało dowódcy uniesiono spiesznie. Konnica także znikła. Lecz drugi strzał nie padł już z lasu.

Po dłuższym czasie, gdy z cichości i milczenia zrozumiano, że buntownicy musieli ujść w góry, jedna drużyna czerkiesów dała się namówić i weszła do lasu, aby go przetrząść. Znaleźli oni pod dębem ciało tylko jednego buntownika; — trzydziestoletniego mężczyznę z czarną brodą, rannego w nogę obwiązaną łachmanami. Czerkiesi przekonali się, że powstańcy zbiegli w góry.

(Istotnie po zabiciu Botewa, pod Wołem część jego drużyny, czterdziestu ludzi, pod wodzą rannego w nogę, bohaterskiego Pera, skryła się w góry, tułała się przez całą noc po zaroślach, znużona, głodna, zmorzona snem, zeszła do lasu czełopiekskiego, gdzie zasnęła jak martwa, nie wiedząc, że jest wytropioną.)

Jedna kula czerkieska przypadkowo zabiła Perę. Żadnej innej ofiary nie znaleziono. Lecz gdy czerkiesi wleźli do szałasu, znaleźli tam jeszcze jednego trupa.

— Pop — buntownik! zawołali czerkiesi zdumieni.

Leżał tam bezwąsy młodzieniec, z przeszytą od kuli głową. Był on odziany w habit mnicha, odchylona poła pozwalała widzieć ubranie powstańca, krwią zbroczone. Z zaczernionych prochem ust, można było wnioskować, że popełnił samobójstwo, po zastrzeleniu poprzedniem Dżambałasa. Czy przedtem się spotkał z oddziałem powstańczym? — niewiadomo.

Wbrew swemu zwyczajowi baszybozuki tym razem nie odcięli głowy powstańcowi, aby ją obnosić zatkniętą na tyce, jako znak zwycięstwa; śmierć dowódcy nie była dla nich zwycięstwem... Zadowolili się tylko zapaleniem szałasu, w którym pozostawili trupa. Dymił się on jeszcze wieczorem, gdy dwa oddziały tureckie mordowały trzynastu powstańców, którzy z gór zeszli, aby się przeprawić przez Iskier.

* * *

Ilica dawno umarła. — Lecz na pół martwe dziecię ożyło, dziś jest zdrowym i tęgim mężczyzną, a nazywa się majorem P. Nieboszczka babka, gdy mu opowiadała te wypadki, dodawała, że nie wierzyła nigdy, aby cudowne wyzdrowienie jego było skutkiem niedbałej modlitwy gniewliwego mnicha, lecz raczej nagrodą za dobry uczynek, którego spełnić nie mogła, lecz z całej duszy spełnić chciała...

ZAGADKI LITERACKIE.

(3)

(WYKAZ PSEUDONIMÓW ZESTAWIONY PRZEZ STANISŁAWA BOTWIŃSKIEGO.)

Emwin — M. M. Winiarski.
Eszet — St. Żyżkowski.
Fabius Publicus — J. Domański.
Felix — Feliks Jasieński.
Freymund Ernest — Aug. Fryd. Gfroerer.
Gąsior Wacek — Wacław Gąsiorowski.
Gordon — Stefan Krzywoszewski.
Gosławiec — Antoni Sygietyński.
Grabiec — Henryk Josse.
Gromada Kaź. Stan. — Karol Rupprecht.
Gryf — Ignacy Maciejowski (Sewer)
Gryf — Józef Olszewski.
Iry — Irena Stablewska.
Jabłoński Bolesław — Karol Eug. Tupy.
Jadam z Zatora — Adam Gorczyński.
Jan Olbracht — Jan Rutkowski.
Janek z Grzegorzowic — Jan Grzegorzewski.
Janusz — Stan. Łapiński.

Jeleńska Ema — Ema z Jeleńskich Dmochowska.
Kallas A. — Aniela Korngutówna. .
Kaprys — Wład. Rabski.
Karski — Edw. Duński.
Katullus — Antoni Lange.
Kaza — Kaź. Tetmajer.
Korab Vincent de — Winc. Brzozowski.
Korwin — Dr. Kajetan Wróblewski.
Klewe — Klemens Weitz.
Krogulec — Antoni Orłowski.
Króliński Kazimierz — Jan Denys.
Kruk Stanisław — Lud. Mikuła.
† z Nazaretu — Marja Morawska.
Kwieciński Z. — Antoni Lange.
Laskaza — Krystyna Sarjusz Zaleska.
Lassota — Ludw. z Jahołkowskich Koszutska.
Lassota W. — St. Wegner.
Lector — Wilh. Feldman.
Leśniewski Jan — Juljan Sutowicz.
Lubicz Władysław — Władysław Łoziński.
Ludomir — Karol Baliński.
Łada Adam — Adam Cybulski.
M. Anna — Zuzanna Morawska.
Maćko z Bogdańca — Marjan Cynarski.

Z PIŚMIENNICTWA I SZTUKI

KSIĄŻKI. *Poznanie i kształcenie charakteru* przez ks. dra Jana Ciemniewskiego we Lwowie 1903. Treścią tej poważnej rozmiarami publikacji są etyczno-moralne poglądy autora, wychodzące daleko po za ramy zakreślone tytułem książki. Chcąc odnaleźć coś podobnego w literaturze polskiej, jak książka ks. Ciemniewskiego, sięgnąć by trzeba w czasy bardzo dalekie — Górnickiego, Modrzewskiego, czy Orzechowskiego, w wiek Zygmuntowskiej literatury. — *Mutatis mutandis* jednak, bo jakkolwiek ks. Ciemniewskiemu ten sam przyświeca cel, co pisarzom złotego wieku: poprawa Rzeczypospolitej — to jednakowoż sięga on i głębiej i szerzej o tyle właśnie, o ile się przez cztery wieki światopogląd ludzki pogłębił i rozszerzył. Znachodzi te same wady charakteru narodowego, co Orzechowski naprzykład, lub Skarga, ale obok nich jeszcze cały bezmiar wad nowych, błędów, anarchji ducha, bezmyślności, braku woli i wszystkiego, na co my bezsilnie patrzymy, stawia wzory, ideały, które my dobrze znamy, rozumiemy, ale za niemi nie idziemy... *de teriora sequentes.* — Jednem słowem, ta książka to jeszcze jedna próba krytyki ducha i charakteru naszego społeczeństwa, krytyka bez litości, choć miłością natchniona. Teologiczne prawa etyki, cielesne zasady hygieny, doświadczenie z upadku Polski, filozofja woli i instynktów, wszystko to dobrze i szeroko pojęte, kaznodziejskimi słowy wyeksplikowane, ale na końcu wielki znak pytania...

„A kto dokona poprawy, skoro od dziecięctwa przyzwyczajono nas do życia bez myśli i samodzielności, bez refleksji i przewidywania, słowem do życia odruchowego form, poglądów i przepisów tradycyjnych?...

Fr. Jaw.

Przekłady polskiej nowelistyki. Nakładem i staraniem dra J. Marchlewskiego, znanego ekonomisty, wychodzi w Monachium wydawnictwo książkowe p. t. „Internationale Nowellen-Bibliotek“, podające obok innych także i tłumaczenia niemieckie nowel znakomitszych naszych pisarzy. Dotychczas wyszły nowele Dygasińskiego, Tetmajera, Nowaczyńskiego, (Małpie zwierciadło), ostatni zaś tomik zawiera Sieroszewskiego „Opowiadania sybirskie“ z ilustracjami. Dobre tłumaczenie i staranna szata zewnętrzna wydawnictwa zapewnia mu w Niemczech szersze koła czytelników, skutkiem czego toruje ono w swoim zakresie drogę i uznanie literaturze naszej u obcych.

NOTATKI. *Nowe fałszerstwo starożytności.* Zaledwie skończyła się awantura z tjarą Saitafernesa, gdy znowu wieści o fałszerstwie antyków, poczynają obiegać prasę paryską. W rotundzie Apollina, w Luwrze, opodal od miejsca, na którem błyszczała sławna tjara, znajduje się tak zwany „Skarb Boscoreale“, zbiór około dwustu srebrnych przedmiotów muzealnych, które miały być wykopane w pobliżu Pompeji. Są to zbytkowne sprzęty stołowe rzymskie z pierwszego wieku po Chrystusie. — Ale oto zjawia się znowu p. Ellina, ten sam Ellina, który wyszukał i nazwał po imieniu twórcę tjary Sajtafernesa i powiada, że tak samo przyprowadzi do zarządu muzeum fabrykanta, który we własnej osobie „skarb“ ów starożytny sporządził. „Skarb Boscoreale“ tedy, oprócz urzędników muzeum, którzy go kupili, pociągnie za sobą i drugą ofiarę, a mianowicie twórcę tjary, złotnika Razumowskiego, który osiedlił się w Paryżu i fabrykuje sam, „niefałszowane“ już dzieła sztuki. Obecnie znajdzie on konkurenta i straci zapewne urok oryginalności i unikatu.

Z Drukarni Udziałowej we Lwowie, ul. Lindego l. 8.